

Świat według Malczewskiej

gazetka szkolna II LO im. H. Malczewskiej w Zawierciu

Kolejny numer gazetki szkolnej już przed Wami. Życzymy przyjemnej lektury.

Nr 5/2014/2015

Skład redakcji:

Anna Drabek 2E

Aleksandra Heljak 1B

Anna Lewandowska 2A

Aleksandra Picheta 2A

Piotr Rogoń 1B

Mateusz Włodarczyk 2E

Opiekunowie:

mgr Ewa Nosol

mgr Beata Milejska



W tym numerze polecamy:

- 1. Z PIÓREM DOKOŁA ŚWIATA** "Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu"
- 2. WIERZENIA SŁOWIAN** "Marzanna - Pani Śmierci"
- 3. CO W TRAWIE PISZCZY** "DRUGA SZANSA-DOBRA DECYZJA CZY OBŁĘD?"
- 4. RECENZJE** Thomas E. Sniegowski Nefilim
- 5. OPOWIADANIE** "Szlone życie Laury cz. 5"
- 6. BIBLIOTEKA SUBKULTUR** "Dzieci Kwiaty - lata 60"

Z PIÓREM DOKOŁA ŚWIATA Anna Drabek

"Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu"

Po spędzeniu kilku miesięcy w zamrażniętym na kość mieście niejednen z nas zapewne zatęsknił za słońcem. Codziennie oglądając te same drogi zasypane śniegiem, to nic dziwnego, że niektórym marzy się już lato i wyjazd gdzieś poza granice miasta albo nawet kraju. A czy jest lepsze miejsce do odpoczynku niż Włochy?



Miejsce, w którym narodziła się pizza, czyli jeden z nieoficjalnych cudów świata. Istna matrona wszystkich makaronów, wymienionych win i kaw. Dla smakosza - raj na ziemi. Musnęliśmy jednak tylko wierzchołek góry lodowej - większość z nas najprawdopodobniej nigdy nie zagłębiała się w to, jak włoskie społeczeństwo zachowuje się naprawdę, w chwili, w której są dla nas namacalni i żywi, nie fikcyjni, gdy tylko o nich opowiadamy.

Włosi są uznawani jako najszczęśliwszy naród na ziemi. Jeśli wychodząc do miasta ciągle mijales (bądź mijalaś) jedynie ponure twarze, wyrażające co najwyżej chęć popełnienia samobójstwa, wyjeżdżając do Włoch, możesz przeżyć lekki szok.

Ten pozytywny, oczywiście, gdyż większość ludzi z tamtych stron jest uznawana za otwartych i sympatycznych. Co u nich charakterystyczne, podczas rozmowy używają nie tylko słów, ale też - delikatnie rzecz ujmując - nadmiernej gestykulacji. Na 8 słów przypada średnio 16 wyjątkowo żywiołowych ruchów rękami/nogami/rękami, innych/pozostałymi częściami ciała (niepotrzebne skreślić). W pewnej chwili pojawia się nawet niewielka obawa przed wydlubaniem przypadkowo oka, jednak dotychczas odnotowano niewielką ilość takich przypadków, więc nie ma się czego obawiać. Póki co.

Mężczyźni zamieszkujący Włochy mają ogólną opinię maminsynków. Zapewne jest w tym ziarno prawdy i większość z nich bardzo późno wyprowadza się z domu rodziców. Jednak nie przeszkadza im to mieć również miana podrywaczy, a to za sprawą głośno wyrażanego zachwyty na widok najbliższej niewiasty. Uważa się, że to głównie blondynki mają powodzenie u Włochów, gdyż jest to rzadko spotykany typ urody, jednak ostatnimi czasy ów zachwyty nad jasnymi włosami nieco zmalął. We Włoszech stało się to niemal chlebem powszednim, a to za sprawą wielu turystek i emigrantów, przez co blond włosy nie są już tak rzadkim zjawiskiem, jak były kiedyś.

Jest jeszcze jedna rzecz, którą Włosi kochają może nawet bardziej, niż piękne kobiety. A jest to... jedzenie. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, jak dobre jedzenie wywodzi się z tego kraju. Wszystko ma jednak swoje konsekwencje i otyłość wśród Włochów jest dość powszechna. Co jednak nie przeszkadza kobietom w noszeniu bikini... bo i czego miałyby się wstydzić? Włosi kochają wszystkie kobiety, również te o kształtach bardziej zbliżonych do kuli niż klepsydry, a nawet te, które powoli zaczęły wykształcać wokół siebie własne pole grawitacyjne z powodu ogromnej masy. Chociaż ten drugi typ kobiet może mieć nieco zawężone grono fanów...



Ogólnie rzecz ujmując, Włochów można uznać za naród hałaśliwy, szczęśliwy i gościnny - nawet, jeśli brak tam określonego ładu i ciężko jest opanować wiecznie roztrzępanego przedstawiciela narodu, mają oni w sobie pewien urok. Urok, który sprawia, że coraz więcej ludzi ciągnie do Włoch i ani myśli wracać do swojego kraju.

W końcu... wszystkie drogi prowadzą do Rzymu.

WIERZENIA SŁOWIAN Aleksandra Picheta

"Marzanna – Pani Śmierci"

Kto nie wychodził pierwszego dnia wiosny nad rzekę z Marzanną i nie wrzucał do wody? Kto nie palił jej na stosie, żeby odegnać zimę i przywołać wiosnę? Według etnograf Małgorzaty Oleszkiewicz, początki tego rytuału sięgają aż XV wieku.

Marzanna była czczona przez Słowian, jako bogini wegetacji roślinnej, zimy, a co najważniejsze, śmierci. Jej imię wywodzi się z języka praindoeuropejskiego: mar- lub mor-, co dosłownie oznacza „Panna Śmierci”. Jej inne imiona to Morena, Marzanik, Śmierztecka, Śmiertka, Śmiercicha, a nawet dosłownie: Śmierć. Przez niektórych badaczy jest uważana za demona.

Słowiański zwyczaj topienia lub palenia kukły przedstawiającej boginię przypadał w czasie wiosennego święta Jarego. W późniejszych czasach wypadał w czwartą niedzielę Wielkiego Postu. Dopiero w drugiej połowie XX wieku zaczęto robić to dwudziestego pierwszego marca. Miał on przywołać wiosnę oraz zapewnić urodzaj w nadchodzącym roku. Zgodnie z zasadami magii wierzone, że zabicie postaci przedstawiającej Panią Śmierci spowoduje zakończenie zimy i okresu wegetacji roślin. Rytuał ten w swojej pierwotnej formie najdłużej utrzymał się na Śląsku, w Wielkopolsce i na Podhalu.

Manekina wykonywano z pęku słomy lub konopi, które miały oznaczać śmierć i bezruch. Owijano go białym płótnem, czasem na tę okazję nawet szyto dla Marzanny suknię. Na koniec zdobiono wstążkami, koralami i kwiatami, aby uczynić ją względnie piękną. Tradycja nakazywała, aby to dzieci chodziły z Moreną oraz gałązkami jałowca w rękach. Orszak musiał odwiedzić wszystkie domy we wsi, a po drodze kukłę trzeba było zamoczyć w każdej napotkanej wodzie. Wieczorem starsza młodzież przejmowała ją i wyprowadzała poza granicę domostw. Zapalali wcześniej noszone przez dzieci gałązki jałowca i w ich świetle podpalano Panią Śmierci, a następnie wrzucano do wody. Na Śląsku na głowę zakładano jej wianek i ubierano w paradną suknię weselną. Na koniec zdzierano z niej ubranie i rozrzucano po polach. Ludzie wierzyli, że dotknięcie pływającej bogini spowoduje uschnięcie ręki, obejrzenie się za siebie w drodze powrotnej spowodzi chorobę, potknięcie i upadek groziło pogrzebem w ciągu roku. Po pozbyciu się Marzanny, uroczyście wnoszono do wsi zieloną gałąź obwieszoną jajkami i wstążkami, co miało symbolizować wiosnę.

Kościół w 1420 roku próbował zakazać tego pogańskiego zwyczaju. Jednak głęboko zakorzeniona tradycja pozostała nietknięta. W konsekwencji na przełomie XVII i XVIII wieku duchowni próbowali zastąpić ją zrzucaniem z wieży kościelnej w Wielką Środę kukły symbolizującej Judasza, ale i to zakończyło się niepowodzeniem.

CO W TRAWIE PISZCZY Anna Lewandowska

DRUGA SZANSA-DOBRA DECYZJA CZY OBŁĘD?

Zaufanie-czym właściwie jest? Wiara w to, że człowiek, którego darzymy sympatią, wyjątkowym uczuciem, będzie wobec nas fair, a może to odmiana naiwności, która przejawia się nadzieją w to, że są jeszcze dobrzy ludzie?

Każdy z nas potrafi podać przykład postaci, która zawiodła ludzi ze swojego otoczenia i pokazała, że nie jest godna zaufania. Niestety, mimo tego, że bardzo chcielibyśmy, aby to była tylko fikcja, zarówno jak w literaturze i filmach, tak i w prawdziwym życiu są ludzie, którzy zawiedli, zdradzili, sprawili przykrość. Nasz świat nie jest idealny – wokół nas obok dobra pojawia się zło, jednak to nie świat decyduje, jak będzie wyglądać nasze życie, lecz my sami.

Zaufanie to „rzecz” indywidualna – każdy traktuje je inaczej. Jedni potrafią szybko je wzbudzić, pokazując tylko swoje pozytywne cechy, inni chcą udowodnić, że mają dobre zamiary i dają się najpierw poznać, aby dowieść, że można im powierzyć sekret i poświęcić czas. Są ludzie, którzy zaledwie po dwóch rozmowach są w stanie zaufać bezgranicznie drugiemu człowiekowi i tacy, którzy potrzebują czasu, aby poznać oraz zebrać odwagę na „wpuszczenie” innych do swojego świata.

Które z tych zachowań jest słuszne? Trudno ocenić. Wszystko zależy od punktu widzenia, sytuacji, od tego, jakie kto prowadzi życie.

Jest tylko jedna rzecz, która dotyczy nas wszystkich – tak zwana „druga szansa”. Zanim ocenimy drugiego człowieka i spisujemy go na straty, ocenimy sami siebie. Zanim zaufamy, zastanówmy się, czy nam można zaufać. Dowiedzmy się, czy sami siebie możemy obdarzyć zaufaniem!

Nie ma ludzi nieomylnych, wszyscy popełniamy błędy. Rzecz w tym, aby je dostrzec, wyciągnąć wnioski i starać się poprawić.

Każdy z nas chociaż raz w życiu sprawił komuś bliskiemu przykrość – rodzicom, rodzeństwu, przyjacielowi. Zaufanie trudno odbudować, jednak należy pamiętać, że sami chcielibyśmy dostać drugą szansę. Nie piątą czy dziesiątą, lecz drugą, na którą wszyscy liczymy.

Zmiany są trudne, ale nie niemożliwe. Dlatego, zanim do gry wejdzie duma, należy sprawdzić czy ktoś, komu poświęciliśmy część swojego życia, tygodnie, miesiące, a może nawet i lata, jest jeszcze w stanie sprawić, że każdy kolejny dzień będzie piękny. Musimy się upewnić, czy będziemy potrafili wybaczyć, a także zaryzykować – lepiej żałować, że się spróbowało i poniosło porażkę, niż zastanawiać się „co gdybym...”.

Te dwa, pozornie niewinne słowa, stojąc obok siebie, zyskują niebywałą moc, która może nas prześladować przez całe życie. W samotne wieczory są nieustępliwe, sprawiają, że stajemy się niepewni i wracamy do spraw, o których już dawno powinniśmy zapomnieć.

Czy tego właśnie chcemy?

RECENZJA

Aleksandra Heljak

Thomas E. Sniegoski Nefilim

Nefilim jest pierwszą częścią tetralogii pt. Upadli autorstwa Thomasa E. Sniegoskiego, który przede wszystkim jest znany z opowieści o Batmanie czy Wolverine. Seria ta jednak nie przypomina wcześniej wspomnianych dzieł, gdyż (jak sam tytuł książki wskazuje) dotyczy upadłych aniołów.

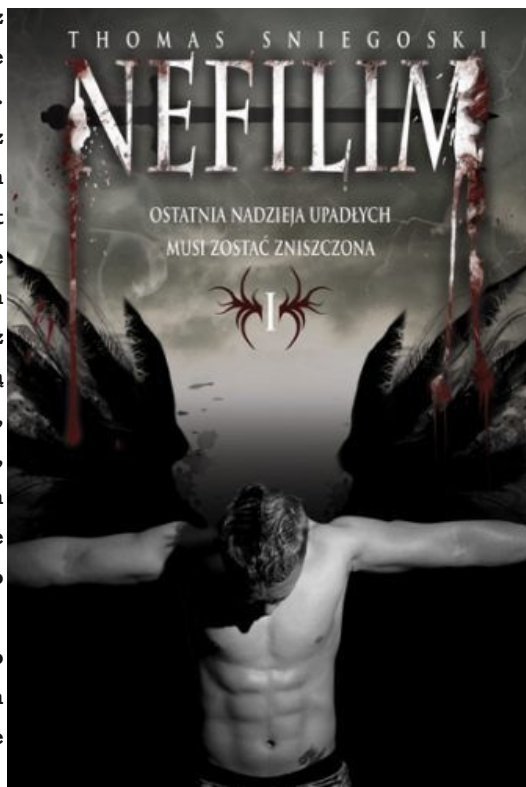
Historia opowiada o Aaronie, który jest wychowywany przez rodzinę zastępczą, a w dniu swoich osiemnastych urodzin niespodziewanie dowiaduje się, że jest Nefilimem – dzieckiem ludzkiej kobiety i Anioła. Dodatkowo posiada zdolność rozumienia wszystkich języków świata oraz mowy zwierząt. Dzięki temu potrafi porozumiewać się ze swoim psem Gabrielem, który jest jego wiernym druhem. W nadnaturalny świat wprowadza go Ezekiel – Upadły Anioł. Jego zadaniem jest uświadamianie młodych Nefilimów o ich odrębności i czyhających na nich niebezpieczeństwach. Czy Ezekiel widzi w Aaronie kogoś więcej niż zwykłego Upadłego Anioła? Czy protagonista odegra jedną z najważniejszych ról w wojnie między Nefilimami a Aniołami? Zdaje się, iż tak... Inaczej ponadprzeciętność młodego chłopaka postrzega Werchiel, który jest dowódcą Boskich Strażników. Ich misją jest likwidacja Upadłych Aniołów, uważanych za istoty przeciwne Bogu. Gdy dowódca zdaje sobie sprawę z tego, że Aaron może nie być zwykłym Nefilim, wyrusza jego tropem z morderczym zamiarem.

Fabula powieści została niezwykle dopracowana, przez co chciało się ją czytać z zapartym tchem. Ukazanie świata Aniołów oraz ich kultury, zachowań czy choćby poglądów wywarły na mnie ogromne wrażenie, bo przecież chyba każdego z nas ciekawi prawdziwe oblicze tych istot? Z punktu widzenia głównego bohatera widzimy zarówno Anioły- dumne, wznoszące się na olbrzymich skrzydłach, z których bije nieziemska moc, jak i Upadłych, którzy zostali wygnani z Edenu za popełnione błędy, po czym zmuszeni żyć pośród nas, ludzi, uważanych przez nich za zwierzęta.

Kolejnym pozytywnym aspektem tej książki jest fakt, iż zdarzenia rozgrywające się w niej są nieprzewidywalne. Niektóre z nich wcale nie kończą się happyendem, co może potwierdzić stopniowe uśmiercanie następnych bohaterów.

Jedyną wadą recenzowanej przeze mnie powieści jest to, że szybko się ona kończy. Książka zawiera zaledwie około 320 stron, ale mimo to czyta się ją z ogromną przyjemnością.

Jeśli chcecie dowiedzieć się, czy wkraczający w dorosłe życie Aaron poradzi sobie z czekającym go losem, sięgnijcie po tą pozycję i przekonajcie się sami!



OPOWIADANIE Aleksandra Picheta

"Szalone życie Laury cz. 5"

Po naprawdę sytym śniadaniu ubrałam się ciepło i chciałam pójść poćwiczyć pod wierzbą. Kompletnie zapomniałam o facecie, który przerwał mi posiłek. Babcia skutecznie utrudniła mi mój plan.

– A gdzie to się wybierasz na taki mróz? – zapytała z drutami w dłoniach i włóczką przy stopach.

– Na spacer – odparłam nie wdając się w szczegóły.

– Najpierw idź pomóż dziadkowi nawozić drewna do kotłowni – powiedziała wymierzając we mnie ostry koniec jednego z drutów.

Chciałam coś odpowiedzieć, już nawet otworzyłam usta, ale wzrok babci jest, co najmniej, przytłaczający. Westchnęłam i zmieniłam kurtkę na mniej wyjściową. Ostatnim, co zobaczyłam wychodząc na zewnątrz, był tryumfalny uśmiech staruszki.

Szczerze powiedziawszy zadanie od babci to nawet niezłe ćwiczenie. Mogłam za pomocą moich umiejętności przenieść w dłoniach drewno nie czując jego ciężaru. To samo tyczyło się toczki. Używałam w połowie siły fizycznej, a w drugiej – mocy. Jeśli dziadkowie dowiedzieliby się o moich zdolnościach, to na pewno użyliby ich właśnie do takich czynności. Nie mam im tego za złe. Rozumiem, że nie są już w sile wieku, ale po pewnym czasie mogłabym poczuć się jak niewolnica.

Po sytym obiedzie, który bardzo pomógł mi w regeneracji sił, w końcu miałam czas dla siebie. Mogłam spokojnie iść na zewnątrz i poćwiczyć. Jezioro wyglądało dzisiaj doskonale. Przykryte śniegiem bez żadnej skazy, mogłoby się wydawać, że nie istnieje, a to tylko kolejna polanka w lesie. Wierzba nie prezentowała się gorzej. Grubsze gałęzie zdążyła pokryć biała kołderka, a te mniejsze zostały opatulone lodem. Stałam obok drzewa i zdjęłam rękawiczki. Nie mam pojęcia dlaczego, ale moje umiejętności są lepsze, kiedy dłonie mam gołe. Wyciągnęłam je przed siebie chcąc, aby część śniegu się uniosła. Po chwili przede mną lewitowała mała, biała kulka. Idealna, aby w kogoś nią rzucić. Machnęłam ręką, a pocisk przeleciał kilka metrów i uderzył w zupełnie inne drzewo, niż chciałam. Muszę potrenować nad celnością.

Po około dwudziestu minutach udało mi się zrobić kulę wielkości budy dla dużego psa. Idealnie gładka, wisiała kilka milimetrów nad ziemią. Na więcej nie miałam siły, a powinna wystarczyć mi jeszcze na inne. Spokojnie przeniosłam ją na środek zamrożonego jeziora. Obawiałam się, że ktoś może mnie zobaczyć, ale jakiś głosik w głowie uspokajał mnie mówiąc: „Nikt tutaj teraz nie przychodzi”. Następnie zrobiłam tułów dla bałwana, a na samym końcu głowę. Z rosnącego nieopodal pędu sosny uplotłam wieniec, ponieważ brakowało mi garnka. Wcześniej zwinęłam z kotłowni dwa węgielki i wsadziłam je tak, aby imitowały oczy. Do tego doszedł nos z ułamanej gałęzi wierzby. Ten bałwan to najpiękniejsza rzecz, jaka do tej pory mi się udała.

Po dwóch lub trzech godzinach na mrozie, wróciłam do domu całkowicie zmarznięta i głodna. Słońce powoli zachodziło, temperatura malała, a żołądek grał marsza. Marzyłam jedynie o ciepłej herbacie, kanapkach, kocyku i książce, ewentualnie słuchawkach z telefonem. Wchodząc do domu zauważyłam obce mi buty i płaszcz. Przechodząc dalej, usłyszałam rozmowę dziadków z mężczyzną poznanym dziś rano. Z zamiarem przywitania się, podeszłam bliżej salonu.

– Musisz jej powiedzieć – usłyszałam, kiedy byłam dwa kroki od progu.

Zatrzymałam się, nasłuchując.

– Wiem – odpowiedział Hulewicz cichym głosem. – Ale jak? Myślicie, że co powie, gdy dowie się, kim naprawdę jestem?

– Nie będzie zadowolona – mruknął dziadek. – Laura z charakteru w całości przypomina swoją matkę.

– Więc to będzie jeszcze trudniejsze, niż przypuszczałem. – Mężczyzna westchnął. – Chyba będzie lepiej, jeśli zniknę raz na zawsze.

– Pokonałeś tyle kilometrów, żeby tylko ją zobaczyć?

Nie mogłam tego dłużej słuchać.

– Dobry wieczór – powiedziałam wchodząc. – Okradliby was, a wy nawet byście nie zauważyli – mruknęłam do dziadków, jakbym niczego nie usłyszała.

– O której to się wraca? – zapytała babcia zmieniając temat. – Zobacz jak ciemno jest na dworze. Ktoś mógł cię napaść!

– Spokojnie, przyszedłam zanim słońce zaszło – odparłam. Dziadek z Hulewiczem wymienili spojrzenia.

- Słyszałam moje imię, kiedy przyszedłam.

- Tak, mówiliśmy, że jesteś podobna do matki - odpowiedział Hulewicz. I zabawa wzięła w czerep. Miałam nadzieję, że to babcia odpowie jakimś kłamstwem. - Ale wygląd podobno masz po ojcu.

- Nie powiem tego panu, ponieważ żadnego z nich nie znałam. - Wzięłam ciasteczko z talerzyka. A przed obiadem pytałam o coś słodkiego! - Ale chętnie dowiedziałabym się, dlaczego mój ojciec mnie opuścił. Jeśli pan go spotka, to niech pan mu powie, że pytałam o niego.

Skinął głową. W jego oczach dostrzegłam, jakby... Żal? Z pewnością jakieś smutne uczucie. Nigdy nie byłam dobra w ich opisywaniu. Powoli gryzłam ostatni kawałek ciastka. Patrzyłam na nich. Chciałam spróbować wyczytać cokolwiek z ich twarzy. Dziadek siedział wygodnie z fotelu, babcia upiła łyk herbaty, a Hulewicz miał minę, niczym przysły wisielec. Powstrzymałam się od zadania jeszcze jednego pytania na temat rozmowy, którą podsłuchiwałam. Głosik w mojej głowie podpowiadał mi, że prędzej czy później wszystko się wyjaśni. A kobieca intuicja sugerowała, iż będzie to szybciej, niż się spodziewam. Z pomieszczenia wyszłam z dwoma dodatkowymi ciastkami w dłoni.

Następnego dnia już nie rozpamiętywałam rozmowy z poprzedniego popołudnia. Niedługo po tym, jak wyszłam rano z kuchni, ponownie odwiedził nas Hulewicz. Po smakowitym śniadaniu zaczęłam wertować książki i notatki od nauczycieli. W przerwach między czytaniem o ghulach, sprawdzaniem poczty na telefonie i powtarzaniu informacji, próbowałam podsłuchiwać ich rozmowy. Jednak byłam za daleko od salonu, więc nie mogłam nic usłyszeć. Opadłam ciężko na łóżko.

- Ghule to małe ciamajdy, mierzące około metra i mieszkające w kanałach - mruczałam do siebie. - Mogę im zaszkodzić srebrem. Zresztą wszystko zwalczam srebrem!

Odrzuciłam kartki i wyszłam z pokoju. Musiałam się napić herbaty.

Schodząc na parter prawie wpadłam na babcie.

- Laura, dobrze, że idziesz - powiedziała z kamienną twarzą. - Musimy porozmawiać.

CDN

BIBLIOTEKA SUBKULTUR Mateusz Włodarczyk



Koniec karnawału i ostatki to czas szalonej wesołości, ostatnich chwil radosnego wytchnienia, wykorzystania jak najlepiej możliwości przyjemnych zabaw. Można bez obaw stwierdzić, że jest to najbardziej liberalny okres roku. Ludzie dają upust swoim pragnieniom w atmosferze przyzwolenia i wolności. Podobna atmosfera, trwająca jednak nie mniej więcej dziesięć dni, a około dziesięciu lat, panowała w Stanach Zjednoczonych w latach 60. ubiegłego wieku. Pokolenie Amerykanów następujące po bitnikach, szukające większych wrażeń, większej swobody, większego buntu, oderwanego już jednak od przemocy – oto ruch Hippisowski.

Na rwącej fali buntu bitników pojawili się hippisi. Posiadając wspólne korzenie w postaci podobnych idei i literatury ruchu (Drzwi percepcji, Nagi lunch czy Skowyt), początkowe różnice pomiędzy dwoma ruchami były nieznaczne, tak ideologicznie jak i w poszczególnych elementach je charakteryzujących. Jednak sytuacja społeczna, polityczna a nawet ekonomiczna doprowadziła do znacznego rozłamu pomiędzy bitnikami i hippisami. Pierwsi zaczęli powoli dorastać, odchodzić od swoich idei na rzecz zwyczajnego, codziennego życia, przeciwko któremu tak się buntowali. Hippisi jednak stanęli wobec znacznie większego wyzwania w postaci wojny w Wietnamie. Zniechęceni wyświechtanymi frazesami o patriotycznym obowiązku obrony ojczyzny, amerykańskim konsumpcjonizmem i wyścigiem szczurów rzucili wyzwanie swojemu społeczeństwu. Zaczęli głosić hasła powszechnego pacyfizmu, wolności i miłości, swobody obyczajów, odrzucenie autorytetów, instytucji społecznych, życia w niczym nieskrępowanych komunach. Słynne hasła Hippisów „róbmy miłość nie wojnę” czy „zakazuje się zakazywać” zdażyły od tamtego czasu wejść na stałe do popkultury, pomimo walki z nią ich twórców, uważających ją za część złego establishmentu.

Problemy jednak nie były częścią codzienności Hippisów. Będący żywym przykładem zwycięstwa kapitalistycznego i liberalnego społeczeństwa, żyli na jego koszt, nie musząc pracować w celu utrzymania siebie i swoich bliskich. Ubierając się w zwiewne, kolorowe ubrania, stylizowane na indiańskie lub indyjskie, nie nosząc butów, zapuszczając długie włosy i brody uniezależnili się do minimum od pieniędzy, żyjąc z tego co zrobili własnymi rękami. Całe dni mogli spędzać na „czynieniu miłości”, zabawie, braniu narkotyków. Inspirowani wschodnimi religiami, buddyzmem, mistyką Orientu, hinduizmem dążyli do szczęścia, nirwany poprzez medytację, tantrę i jogę – wystarczy dołożyć do tego ekologizm i drugą falę feminizmu, a uzyskamy prekursorów New Age.

Należy także wspomnieć, jak wielką rolę w subkulturze hippisowskiej odgrywały odbywające się pod gołym niebem, plenerowe zloty i masowe zgromadzenia, jak legendarny Festiwal w Woodstock w 1969 r., który można określić wręcz jako kwintesencję ruchu w trzech słowach - Peace, Love and Happiness (pokój, miłość i szczęście).

Hippisom przyświecały wielkie wzniosłe idee, były one jednak tak wielkie i szerokie, że sami zgubili się na nich jak na otwartej, bezkresnej równinie. Płomień buntu zaczął powoli przygasać, świeże pomysły zdażyły zwiędnąć, a bunt przeciw wszystkiemu odebrał możliwość buntować się przeciw czemuś nowemu. Znużeni miękkością i miłością, zaczynający się starzeć, zarzucili bunt i odeszli do tego, przeciw czemu się buntowali – pracy, rodziny, państwa. Często również sięgali po twarde narkotyki i kończyli w szpitalach, przytułkach, rysztołkach i kostnicach. Ikarowe loty hipisów skończyły się podobnie jak wielu ich poprzedników i wielu następców. Ale o nich kiedy indziej

